

# Syn Lasu

# Silencio

FRAGMENT TEKSTU

Pamiętał dzień, w którym ujrzał go po raz pierwszy.

Siedział wysoko na jednym z drzew, ukryty przed spojrzzeniami ludzi, choć sam bezwstydnie ich podglądał. Leśną ścieżką przechadzała się młoda para. Często ich obserwował. Za często. Kłamstwem byłoby stwierdzenie, że nie wyczekiwał ich powrotu, i że nie intrygowało go uczucie płonące w oczach młodego, urodziwego chłopca i jego niemniej uroczej towarzyszki. Młodzian był myśliwym – widywał go tu już wcześniej, gdy ten polował, najczęściej samotnie, rzadziej w niewielkim towarzystwie. Wtedy nie wydawał mu się interesujący. Dopiero mając ją u swojego boku, przykuwał uwagę.

Wyobrażał sobie, że tam, skąd pochodzili, przykuwali ją, tak czy inaczej – on był wysoki i smukły, miał gęste, hebanowe włosy, prosty nos, pełne, malinowe usta i oczy w kolorze brązu, tak ciemnego, że momentami zdawały się być zupełnie czarne. Ona była delikatna i drobna – miała śliczną, okrągłą twarz, całą w piegach, roześmiane, niebieskie oczy, okolone długimi rzęsami, wąski nos i drobne wargi. Długie, blond włosy, zawsze splatała w dwa warkocze, ale uparte kosmyki wymykały się spod rzemyka, opadając na jej czoło i ramiona.

Kiedy im się przyglądał, jeszcze bardziej uświadamiał sobie, jak bardzo jest do nich podobny. I jak bardzo się od nich różni.

Był tutaj, odkąd tylko pamiętał. Nie miał imienia, choć ludzie nadali mu ich wiele – nazywali go potworem, opiekunem, duchem, dobrym czy złym, zależnie od tego, kto o nim opowiadał, lecz on sam preferował określenie „strażnik”. Strażnik Lasu. Ktoś kiedyś tak o nim powiedział i spodobało mu się to, choć tak naprawdę, niczego nie strzegł. Stanowił część tego miejsca, elementarną i nieodłączną. Nie mógł opuścić lasu. Nie żeby kiedykolwiek próbował, po prostu wiedział, że to niemożliwe. To nie był wymysł, czy zwykła upartość, lecz pewna kojąca świadomość, oczywistość, która towarzyszyła mu od zarania dziejów. Miał w głowie wiele podobnych prawd, nakazów i zakazów. Nie wiedział, czy ktoś mu je przekazał, dawno temu, czy może urodził się z tą wiedzą. Nie wiedział, czy w ogóle się urodził, czy może istniał tu od zawsze. Pamiętał, że kiedyś były tu inne istoty, podobne jemu, ale to było tak dawno, że pozostało po nich ledwie niewyraźne echo, które czasem rozbrzmiewało dookoła, niesione przez wiatr. Nie potrafił sobie przypomnieć, kim dla niego były.

Nie mógł pokazywać się ludziom – to była kolejna z zasad, które w sobie nosił. W ciągu swej długiej egzystencji, złamał ją zaledwie parę razy. Ujawniał się jednak innymi sposobami, choć, teoretycznie, nie powinien mieszać się w sprawy śmiertelników – ten zakaz nie był jednak tak stanowczy, jak inne. Wiedział, bo gdy go naruszał, nie czuł się źle. Gdy czynił to z pozostałymi, natychmiast tego żałował.

Zdarzało się więc, że wykorzystywał posłuszną mu naturę, by pomóc zagubionym wędrowcom, czy spłoszyć tych, którzy siali zamęt w jego domu. To wystarczyło, by ludzie wierzyli w jego egzystencję. Nie, to chyba nie było właściwe określenie. Po prostu o nim mówili. Nie każdy uważał to za prawdę, ale plotki krążyły, i przypisywały mu przeróżne zdolności, zazwyczaj bezpodstawnie.

Niektórzy twierdzili, że władza zwierzętami i każe tych, którzy je krzywdzą, w tym zwłaszcza myśliwych. To nie była prawda. Nie miał wiele wspólnego z tymi istotami, poza faktem, że potrafił przybierać ich postać. Nie były częścią jego domu. Las istniałby bez nich, choć one, w zdecydowanej większości, nie istniałyby bez lasu. Te bardziej świadome, zdawały sobie sprawę z jego obecności. Darzyły go cichym szacunkiem – odległym i podszytym niepokojem, choć nie stanowił dla nich zagrożenia. Potrafiły wyczuć jego obecność, tak, jak i on wyczuwał każde stworzenie, które znajdowało się w granicach lasu. Nigdy nie przebywały w pobliżu niego.

To rośliny były mu najbliższe. Drzewa, krzewy, trawy, kwiaty, pnącza, nawet grzyby, w tym miejscu, stanowiły jeden organizm. Myślały wspólnie, a on myślał wraz z nimi. Miały swój niespieszny rytm, którego był częścią, a kiedy tego pragnął, naginały się do jego woli. One dawały mu życie, a on dawał im cel.

Zabijanie zwierząt nie budziło w nim oporu. Sam nigdy tego nie robił – nie miał powodu, by krzywdzić jakąkolwiek żyjącą istotę. Przeganiał dzieci, które męczyły je dla zabawy i brzydził się widokiem okrutników, lubującym się w zadawaniu cierpienia. Myśliwy, którego obserwował, do nich nie należał. Zabijał szybko i sprawnie. Nigdy nie krzywdził młodych i nie pozwalał rannym zwierzętom się męczyć. Nie naruszał równowagi tego miejsca. Krew zwierząt była jego częścią.

W przeciwieństwie do krwi ludzi. Nie było niczego, co budziłoby w nim większy wstręt. Na przestrzeni wieków, ludzie często wybierali to miejsce, by czynić sobie nawzajem okrutne rzeczy. Zwykle interweniował. Czasem zmuszał się, by tego nie

robić, a później pogrążył się w chaosie, wraz z całym tym miejscem, nim gniew natury przemiął. Nie potrafił wytłumaczyć, dlaczego tak się działo. Może ludzie powinni wynosić się ponad prymitywne instynkty. Patrząc na tych dwoje, nie miał wątpliwości, że to możliwe.

Szczęście – tak opisałby widziany przez siebie obrazek, bo choć sam nie do końca rozumiał ten koncept, wierzył, że ludzie używają tego określenia w podobnych okolicznościach. Przez lata, nauczył się interpretować ich mowę, lecz niektóre zagadnienia wciąż pozostawały dla niego abstrakcją.

Wyczuł, że ktoś inny pojawił się w lesie. Wtedy to wydawało się nieistotne. Warte zignorowania na tle tego, co działo się przed jego oczami, ale ta istota zbliżała się do młodej pary. Myśliwy i jego ukochana, zatrzymali się. Młodzian uśmiechnął się ciepło i chwycił dłoń dziewczyny, po czym położył ją na swoim sercu. Ta odpowiedziała mu rumieńcem i nieśmiałym pocałunkiem.

I wtedy zjawił się on. Skrył się za jednym z drzew, nieopodal pary.

Zaabsorbowani sobą, młodzi kochankowie, nie zwrócili na niego uwagi, ale jemu przybysz nie mógł umknąć. Wydawał się być mniej więcej w wieku zakochanych. Mężczyzna. Ubrany inaczej, niż myśliwy, schludnie i gładko. Miał czarne, krótkie włosy i pociągłą twarz o szarych oczach, wydatnym, orlim nosie i wąskich wargach. Wyglądał ostrożnie zza pnia, spoglądając w kierunku chłopca i dziewczyny. Jego oczy również przepełniało uczucie. I zazdrość.

Naszła go obawa. Zastanawiał się nad intencjami przybysza, bo choć nie powinien, darzył młodą parę sentymentem i nie chciał, by ktokolwiek ich niepokoił. Póki co, przybysz tego nie robił. Trzymał się z daleka, jedynie obserwując.

Od tamtej pory, i jego widywał regularnie. Gdy zakochani udawali się na spacer, przybysz szedł za nimi, nieporadnie chowając się za drzewami. Czasami zdawali się wiedzieć, że jest gdzieś w pobliżu, ale nie reagowali.

Tak jak przybysz obserwował zakochanych, tak on obserwował przybysza, czujnie, z uwagą. Snuł w głowie własną historię. Choć nie wiedział wiele o myśliwym, a jeszcze mniej o śledzącym jego poczynania młodzieńcu, wyobrażał sobie, że konkurowali o serce ślicznej dziewczyny. Myśliwy był dobry i szlachetny, a jego konkurent zawistny i niegodny jej uczucia. Czy to była prawda? Nie wiedział. Tak

zwykle układały się ludzkie opowieści i legendy, a ta historia, jak każda inna, stanowiła zaledwie tło. Życzył myśliwemu wszystkiego, co najlepsze.

Pewnego razu coś się zmieniło. Myśliwy przyszedł do lasu sam, ale nie na łowy, tak jak zwykle. Ruszył niespiesznie tę samą ścieżką, którą podążał zwykle ze swoją partnerką, ale nie zaszedł daleko. Po kilkunastu krokach odwrócił się i poszedł w drugą stronę, i znów, i raz jeszcze, okrążając raz po raz to samo miejsce, jakby na kogoś czekał. Nie niecierpliwił się. Sprawiał wrażenie spokojnego.

Spodziewał się, że lada moment do myśliwego dołączy jasnowłosa dziewczyna, ale zamiast tego, pojawił się ten niepozorny młodzian. Podszedł do myśliwego i zaczęli rozmawiać.

Nie był w stanie skoncentrować się na ich słowach, gdy dostrzegł, co zazdrosny młodzian trzyma za plecami. To był sztylet. W zdobionej błyszczącymi kamieniami pochwie, z pozłacaną rękojeścią, mieniący się w promieniach przebijającego przez liście drzew słońca. Zdradliwie piękny.

Poczuł, jak wzbiera w nim obawa. Jakże paraliżujące było wyobrażenie, że myśliwy zostanie lada moment ugodzony, być może śmiertelnie. Zbrodnia pozornie bez świadków, której sprawca pewnie nie otrzymałby należytej kary.

Nie zamierzał na to pozwolić. Już miał złamać jedną ze swoich zasad, gdy nagle niepozorny młodzian, wyciągnął sztylet przed siebie, wciąż ze skrytym ostrzem. Nie atakował. Trzymał go płasko, na dwóch dłoniach. Uśmiechał się. Myśliwy spojrzał na niego z zaskoczeniem, ale zaraz również się uśmiechnął. Przyjął dar i zaczął go oglądać. Wdzięczny. Radosny.

I wtedy zrozumiał. Zobaczył w oczach niepozornego młodziana to samo uczucie, które widział wcześniej, ale teraz pojął, że jego obiektem nie była jasnowłosa dziewczyna, a myśliwy. Jak mógł się tak pomylić? Jak mógł pomyśleć o nim coś złego? Wszak spoglądał na swojego wybranka z takim uwielbieniem i pieczę, że na pewno nie mógłby go skrzywdzić.

Tego dnia dotarło do niego, że prawdziwa historia miała smutniejszy wymiar, niż jego domysły. Że nie było tego złego i tego dobrego. I że jedno serce, nieuchronnie, musiało zostać złamane.

Minęło trochę czasu, ale ani zakochani, ani nieszczęśliwy młodzian, nie pojawili się w lesie. Nie przychodził nawet sam myśliwy. Coś innego musiało go zajmować, bo pozostali, polowali jeszcze częściej, niż zwykle.

To oznaczało, że w wiosce wkrótce dojdzie do jakiegoś święta.

I tak, pewnej nocy, niepozorny młodzian wrócił. Wszedł do lasu sam, z twarzą wilgotną od łez. Pobiegł przed siebie, chyba na oślep, bo nie trzymał się utartej ścieżki i nie zdawał się zmierzać w żadnym konkretnym kierunku. Wreszcie wsparł się o jedno z drzew i załkał cicho.

Obserwował młodzieńca, czując współczucie i bezradność. W ludzkich łzach było coś poruszającego. Wiedział, że sygnalizowały smutek. Po raz pierwszy, od bardzo dawna, poczuł przemożną chęć, by coś zrobić. Nie miał pojęcia, co. Chciał tylko, żeby młodzieniec był szczęśliwy. Tak samo, jak wtedy, gdy patrzył wprost w oczy swojego wybranka.

Nie zrobił jednak nic. Był Strażnikiem Lasu i nie dawał sobie prawa, aby czynić cokolwiek więcej, jak tylko obserwować.

W końcu, młodzieniec przestał płakać i ruszył w głąb lasu.

Z początku, nie rozumiał dlaczego. Było naprawdę późno, a ze strony wioski dobiegały odgłosy muzyki. On je słyszał. Młodzieniec pewnie nie, był już zbyt daleko.

Dopiero dostrzegając chaotyczność gestów młodziana i jego rozbiegane, pełne przerażenia spojrzenie, uświadomił sobie, że ten zwyczajnie się zgubił.

Las nocą nie był bezpiecznym miejscem dla człowieka. Mógł trzymać się blisko młodzieńca, by uchronić go przed dziką zwierzyną, ale było też zimno, a mrok nie pozwalał dostrzec wystarczająco wiele, by w porę uniknąć zagrożenia.

Wstrzymał się z działaniem, do czasu, gdy chłopak zapuścił się w okolice stawu – pozornie niewielki zbiornik, krył w sobie zdradliwą głębię, gdyby tylko zrobić o parę kroków za dużo. Pochłonęła ona już wiele istnień. Młodzieniec nie zdawał się dostrzegać niebezpieczeństwa. Zmierzał prosto w stronę wody.

Musiał zareagować. Gdyby był dzień, wykorzystałby inne sposoby. Splątałby kostki młodzieńca pnączami, pokierował go szelestem drzew i echem słów niesionych przez wiatr, ale chłopak był zbyt wzburzony, by mógł to słyszeć.

Przybrał więc postać wilka i pojawił się pomiędzy młodzianem a stawem. Zdawał sobie sprawę, że go przestraszy. Taka była jego intencja – liczył na to, że młodzieniec ucieknie w przeciwnym kierunku, co zbliży go do miasta. Wydał z siebie dźwięk, który, miał nadzieję, przywodził na myśl warczenie. Potrafił przyjąć wygląd zwierząt, ale nie imitować ich odgłosy. Mimo to, chyba mu się udało.

Młodzieniec zamarł, po czym spojrzał wprost na niego. Musiał dostrzec błyszczącą w ciemnościach parę oczu. Odetchnął drżąc i zaczął się cofać, ale potknął się o jakąś nierówność i przewrócić. Zamiast podnieść się i uciekać, zasłonił twarz dłońmi, kuląc się na ziemi.

Nie wiedział, co robić. Spróbował warknąć ponownie, ale młodzieniec wydał z siebie pełen przerażenia okrzyk, nie ruszając się z miejsca.

Przyglądał się mu, coraz bardziej zdezorientowany. Widząc, że nie zdoła go przegnać, powrócił do swojej normalnej postaci. Nie przemyślał tego, po prostu chciał uspokoić mężczyznę. Zbliżył się do niego.

– Nie, błagam, nie! – zawył rozpaczliwie młodzian, wyczuwając jego obecność.

– P... Przepraszam – odpowiedział z wolna. Rozumiał ludzką mowę, ale posługiwał się nią tak rzadko, że z trudem przechodziła mu przez usta, a gdy już tak się działo, nie mógł oprzeć się wrażeniu, iż brzmi nienaturalnie. Jego głos podobny był do głosu ludzi, choć wprawione ucho mogłoby wychwycić cichy szmer, jaki towarzyszył każdemu słowu.

Młodzian odsłonił twarz i spojrzał znów w jego stronę, sprawiając wrażenie skonfundowanego.

– Kto...? – rzucił niepewnie.

Zawahał się. Naszła go potrzeba, by ukryć się przed wzrokiem chłopaka, ale wiedział, że tej nocy, nie powrócili już do roli biernego obserwatora. Skoro mu się pokazał, mógł przynajmniej udzielić mu pomocy.

Nim jednak zdołał się na to zdobyć, młodzian podniósł się, po czym wyciągnął rękę i dotknął jego ramienia, a następnie zaśmiał się nerwowo.

– Ty jesteś... jesteś z wioski, prawda? – rzucił, odetchnawszy z ulgą. – Przepraszam. Oczy mnie zawodzą. Słuch zresztą też, mógłbym przysiąc... Nieważne. Znowu zrobiłem z siebie głupca – wymamrotał pod nosem, otrzepując ubranie.

Nie wiedział, co powiedzieć.

– Zgubiłeś się? – zagadnął go młodzian.

Milczał.

– Też byłeś na weselu?

Jego dezorientacja narastała.

– Jeśli tak, mam nadzieję, że nie jesteś tu z tego samego powodu, co ja – stwierdził młodzieniec, uśmiechając się gorzko. – Przepraszam – dodał zaraz, jak gdyby karcąc samego siebie. – Znamy się, prawda? Czy może przyjechałeś aż z miasta? Jesteś jednym z krewnych Fenelli?

Cisza. Na nic więcej nie był w stanie się zdobyć.

Młodzian uśmiechnął się, a następnie uklonił przed nim nisko. Kolejny niezrozumiały gest.

– Dziękuję – rzucił pogodnie.

– Za co? – zapytał bez zrozumienia.

– Za znalezienie mnie tutaj. Czuję się już znacznie lepiej. Czy Clemens cię po mnie przysłał?

Nie miał pojęcia, o czym mówi młodzian, ale nie to zastanawiało go najbardziej. Czy on nie widział, jak wygląda?

Zerknął na staw, wprost w swoje odbicie, jakby oczekiwał, że coś się zmieniło, ale nie. Wyglądał tak, jak zawsze. Gdyby wziąć pod uwagę ogólne kwestie, niewiele różniło go od ludzi. Mieli podobne sylwetki, dwie ręce, dwie nogi, głowę, dwoje oczu, nos i usta. Był wysoki, ale nie na tyle, by przewyższać wzrostem najwyższych spośród ludzi. Jego ciało wyglądało jednak trochę inaczej. Był znacznie węższy w pasie, za to górna część klatki piersiowej była szersza, z wyraźnie zarysowanymi, odznaczającymi się żebrami. Miał również szersze biodra. Pod jego skórą nie było tłuszczu, a jedynie warstwa mięśni, znacznie skromniejsza od tej, którą posiadali ludzie. Jego ręce były nieco dłuższe. Palce patykowate i smukłe, poza kciukiem, nieróżniące się długością i zakończone ciemnozielonymi paznokciami. W takim kolorze były też jego wargi i sięgające do połowy pleców włosy, o innej strukturze niż te ludzkie. Nos miał nieduży, za to oczy większe od tych, które należały do ludzi. Nie posiadały tęczówki, a czarną, wąską źrenicę, zamiast bieli, otaczała rozciągająca się na całej szerokości, jasna zieleń.



Najbardziej wyróżniała się jednak jego skóra – szorstka i chropowata, swą barwą przywodziła na myśl korę brzozowych drzew, jako że z bielą przeplatały się nieregularne plamy czerni.

Dopiero po chwili przypomniał sobie, że jest ciemno, i że ludzkie oko, w przeciwieństwie do jego własnego, nie radziło sobie dobrze w tak gęstym mroku. Księżyc świecił słabo, więc młodzian widział pewnie ledwie jego sylwetkę, a może nawet nie.

– Cóż, nieważne! – zawołał raźno chłopak. – Tak czy inaczej, wracamy do wioski. Razem będzie nam weselej. I może trochę łatwiej.

Młodzieniec wyciągnął rękę, jakby na oślep, po czym chwycił go za dłoń.

Cofnął się, spłoszony tym gestem.

Mina młodziana zrzędała.

– No tak, wybacz – rzekł z wymuszoną swobodą. – Jestem „zbyt śmiały w stosunku do młodzieńców”. – Zaśmiał się bez przekonania. – Zdaniem matki, to nie skończy się dobrze.

Młodzieniec odwrócił się z wolna i ruszył w przeciwną stronę, co było widokiem niosącym ulgę. Zaraz jednak odwrócił się i zawołał:

– No chodź. Nie zostawię cię tu przecież samego.

– Nie jestem młodzieńcem – sprostował cicho, wspominając poprzednie słowa człowieka.

– Och, wybacz, panie, naprawdę nie widzę cię zbyt dobrze w tych ciemnościach. Zresztą, szczerze mówiąc, przez moment pomyliłem cię z jakąś dziką bestią! Najmocniej przepraszam.

*Przedziwny.* To właśnie o nim pomyślał, ale przez lata oceniał w ten sposób wiele ludzkich zachowań. Podążył za młodzieńcem, bo ten zdawał się tego oczekiwać. Skłamałby, gdyby powiedział, że sam tego nie chciał. Kierowała nim ciekawość. Tak rzadko miał szansę na interakcję z człowiekiem, zwłaszcza tego rodzaju, że nie mógł sobie odmówić jeszcze chwili, spędzonej w jego towarzystwie.

– Piękne wesele, prawda? – odezwał się młodzian, po czym potknął się o korzeń, w ostatniej chwili łapiąc równowagę. Zachichotał nerwowo, pozostawiając to bez komentarza. – Naprawdę piękne. Fenella wyglądała doprawdy zjawiskowo, chociaż to

nic nowego. Jest niesamowita. I Clemens... – Do głosu chłopaka, mimo gorzkiej nuty, przedarła się tklivość. – On też zawsze wygląda dobrze, ale dziś był taki elegancki i szczęśliwy. Są piękną parą. Pięknym małżeństwem. I będą mieć piękne życie. I piękne dzieci. – Mówił, chyba bardziej do siebie, niż do towarzysza. Jego głos drżał. Pobrzmiewał smutkiem, ale nie zawiścią. – Ach, wzruszyłem się! – zawołał nagle, z wymuszonym śmiechem. – A ty? Jak podobała ci się ceremonia?

– W prawo.

– Hm?

– Wioska. W prawo – doprecyzował, widząc zdziwienie młodziana. Nie wiedział, jak odpowiedzieć na jego pytanie.

Młodzieniec uśmiechnął się ciepło.

– Zatem chodźmy w prawo.

Tak właśnie zrobili. Młodzian wciąż mówił – o ślubnych wiankach i zamążpójściu, o przysięgach, weselach i marzeniach, a on, z każdym słowem, czuł coraz większą dezorientację. Nim się zorientował, dotarli do skraju lasu.

Musiał zniknąć. Natychmiast. Na szczęście młodzian był zbyt pogrążony we własnych słowach, by zwracać na niego uwagę.

– Ach, śpiewy i muzyka! – rzucił po chwili z ulgą, przystając. – Dobrze nas poprowadziłeś – dodał, odwracając się. – Hej? Gdzie jesteś? – zawołał, okręcając się wokół własnej osi.

Obserwował go z daleka. Idź do domu – powtarzał w myślach, mając nadzieję, że młodzian nie powróci go szukać.

– Hej? Wyprzedziłeś mnie? – Chłopak sprawiał wrażenie skonfundowanego. Podrapał się po głowie. – Poszedłeś beze mnie? Pewnie tak – dodał ponuro. – Do licha, naprawdę nic nie widzę – wymamrotał, po czym w pośpiechu opuścił las.

Już wtedy wiedział, że było to spotkanie, którego prędko nie zapomni.